

Czy widujecie na naszych ulicach niepełnosprawne dzieci? No... może gdzieniegdzie przemknie jakiś ślicznie ubrany, wychuchany dzieciaczek z zespołem Downa, prawda? Tych się widzi. No bo chodzi... mówi... taki słodki ogólnie, można powiedzieć, że ?społecznie akceptowany?. A gdzie reszta? Gdzie te dzieci, które są sponiewierane, często z przykurczami kończyn, z otwartymi, śliniącymi się buziami, oczami patrzącymi w dal? No właśnie, gdzie???
Wiecie dlaczego ich nie widzicie? Dlaczego rodzice wybierają pory dnia, w których jest już ciemno i miejsca, w których jest jak najmniej ludzi? Z obawy i strachu przed tymi ludźmi właśnie. Ludzie bowiem są bezczelnie okrutni. Wgapiają się w wózki, kucają przy nich albo stają na palcach, byle tylko lepiej widzieć, napawać się widokiem, a potem, w głębi duszy ? a często nawet jawnie ? cieszyć się, że to nie ich to dotknęło! Brrrr!

I to przez nich siedzą te biedne dzieciowiny w domach, przykute do rozmaitych ?kucyków?, walkerów czy innej maści wózków i wspomagaczy. Nie zamierzam nawet próbować ich rozumieć, słuchać czyichkolwiek tłumaczeń, że to nie ze złej woli, że oni przecież nie wiedzą, jak się zachować, bo nie doznali, bo to tylko ludzka ciekawość itp. Mam to w dupie! W czterech literach! Dla mnie, mamy Hani, to jakby stać i przyglądać się ofiarom tragicznego wypadku, oddychając z ulgą, że ?ja żyję!?. Nie mówię o obojętności, o celowym odwracaniu wzroku, ale o byciu po prostu człowiekiem. O naturalności!
Jak bowiem można podejść do rodziców, idących z niepełnosprawnym dzieckiem, jakkolwiek ono by nie wyglądało, i nie przywitać się z nim? Nie powiedzieć ?cześć?, ?hej?, ?witaj?, nie wymienić imienia, a przy tym jeszcze witając się ostentacyjnie ze zdrowym rodzeństwem??? Kim trzeba być? No, kim???
Ale to nie tylko ludzie, którzy zdrowe, ?normalne? dzieci ? na swoje szczęście w ich mniemaniu ? posiadają. Podobne zachowania zauważycie także obserwując rodziców dzieci niepełnosprawnych, choćby w przedszkolu Hanki. Przychodzą, witają się? ale między sobą! Patrząc gdzieś ponad głowami tych dzieci, jakby ich nie było, jakby rozpływały się w powietrzu w momencie napotykania innych osób. A zdawałoby się, że kto jak kto, ale właśnie oni powinni to rozumieć. Mając na co dzień do czynienia z dzieckiem niepełnosprawnym ? własnym dzieckiem przecież! ? powinni rozumieć, jak boli takie ignorowanie. Lecz nie! Oni dokładnie tak samo się zachowują. I najpierw ja, tylko ja, witałam się z tymi wszystkimi dziećmi, a inni patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami. Ja? Ja je zauważałam? No pewnie! I nauczyłam ? przynajmniej niektórych z nich ? też zauważać inne dzieci?
I wiele razy Hanię to dotknęło. Takie właśnie traktowanie. A ja wtedy zastanawiałem się, co ona czuje i myśli? Może właśnie ?Mów do mnie, do cholery, a nie o mnie!?? Przecież to, że ma porażenie mózgowe, że nie porusza się samodzielnie swobodnie tak jak inni, że nie mówi, nie czyni jej podgatunkiem człowieka, nie robi z niej osoby nieistniejącej, którą trzeba ignorować. Przecież ona rozumie, co się do niej mówi! Wielokrotnie pokazała, że rozumie! I do niej i o niej! I reaguje! Po swojemu, ale reaguje, rozumiejąc słowa. Co więc ona sobie myśli w takich sytuacjach? Bo przecież wiem, że myśli, choć nigdy mi tego pewnie wprost nie powie... bo nie może!
I jest mi wtedy wstyd.... Za tych ludzi, często wysoko wykształconych, na tak zwanym ?poziomie?. Brrr! Tylko garstka potrafi się zachować. Nie traktuje jej jak jakiegoś ?odmieńca?

czy kogoś, kogo strach dotknąć lub w ogóle zauważyć, tak jakby jej niepełnosprawnością można się było zarazić! Rozmawiają z nią i bawią się tak, jak z całkowicie zdrowym dzieckiem. Nie mają uprzedzeń, nie cofają się mentalnie przed nią. A większość osób tego nie potrafi...
- Wiesz, Kasiu, niektóre matki mają gorzej ? powiedziała któregoś dnia rehabilitantka Hani. - Mężowie je opuścili, nie pracują, borykają się z problemami finansowymi...
I widziałam wielokrotnie zazdrość w jej oczach. Zazdrość!!! O wszystko! O mój uśmiech na twarzy, o pogodę ducha, o formę, o optymizm, o ogród ? pięknie bylinami kwitnący na wiosnę. Bo uwielbiam byliny, nie wymagają zbyt wiele pracy, a tak się pięknie wdzięczą kwiatami i kolorami. A i nazwy mają całkiem fajne: kocimiętka czy bodziszek...
I ta kobieta ćwiczyła Hanię codziennie, prywatnie. A jak chciała nam dopiec, to wypaliła dwa lata temu, tym samym kończąc u nas pracę:
- Hania jedzie na turnus??? To może skorzysta z 11% swoich możliwości?
Mnie zatrzęsło.... A Hania wzięła i w tym momencie język pokazała... i odtąd zaczęła chodzić w swoim ?walkerze?... Udowadniając tym samym, że może o wiele więcej niż te cholerne jedenaście procent...
{jcomments on}